



Bang-bang na Nowy Rok

Adam Cebula



Było ding-dong na Boże Narodzenie, będzie bang-bang na Nowy Rok. Kłopot się robi, gdy podziały polityczne wymuszają na ludziach konieczność uznania wyższości jednych świąt nad drugimi, a nawet niesłuszności co niektórych bądź jedynej słuszności innych.

Czy święta Bożego Narodzenia są słuszniejsze od Nowego Roku? Proszę wybaczyć, nie posiadamy kwalifikacji w dziedzinie mniemanologii stosowanej, nie będziemy się tym zajmować. Warto jedynie odnotować, że owszem, i taki pogląd się pojawia na gruncie polskości prawdziwej bądź prawdziwszej, co niestety dopuszcza istnienie polskości i Polaków Jeszcze Bardziej Prawdziwych. Nowy Rok jest podejrzany, bo komuniści go także obchodzili. Trzeba by tu IPN zatrudnić... Niewesołe to refleksje, zwłaszcza z perspektywy starego miłośnika Science Fiction. Pomyśleć, że Odyseja Kosmiczna miała się dziać w roku 2001, czyli jakieś 18 lat temu. Bynajmniej nie opóźnienie w zdobywaniu kosmosu jest powodem smutku towarzyszącego tej refleksji. Zdawało się bowiem wiele już dziesięcioleci temu (premiera filmu odbyła się 2 kwietnia 1968 roku), że z roku na rok będziemy coraz mądrzejsi, że idiotyczne powody konfliktów pomiędzy ludźmi odejdą na zawsze w przeszłość. W szczególności nie powtórzą się wojny religijne, a społeczeństwa nie pozwolą się dzielić z głupkowatych powodów.

Gdy Jan Tadeusz Stanisławski głosił swoje wykłady o wyższości świąt Wielkiej Nocy nad świętami Bożego Narodzenia zdawało się, że po odrzuceniu jedynie słusznej ideologii nie będzie siły, która potrafi nas wtłoczyć w kolejne absurdalne konflikty. Tymczasem wylądowaliśmy w społeczeństwie, gdzie dobrze mają się demony z XIX stulecia i pierwszej połowy XX wieku. Rozumu nie przybyło, dobrze mają się kreacjoniści i antyszczepionkowcy.

Nici ze zdobywania kosmosu, bo w kosmosie potrzeba wiele rozumu. Jak się obejrzeć o dziesięciolecia wstecz, to przynajmniej za czasów kręcenia Odysei nikt z rozumu nie kpił. Dziś dobrze jest pochwalić się głupotą.

Niewesołe myśli towarzyszą człowiekowi z nadejściem kolejnego Nowego Roku. Trudno opędzić się od nastroju "degeneracyjnej koncepcji dziejów". Technologia rozwija się, to prawda, ale jakby swoim torem, ludzie zdają się być coraz mocniej zafascynowani - w najlepszym razie - ezoteryką, wizjami

świata wyszukanyymi w bardzo starej, zakurzonej szafie etnografa. Trzeba zaciskać zęby, gdy w towarzystwie jakiś post-buddysta, czy post-przaśny-chrzescijanin usiłuje tłumaczyć świat filozofiami, które sam uprościł do stopnia kompletnej bezużyteczności.

Przypomina się seria felietonów Lecha Jęczyka "Nowe średniowiecze". Nie tylko, że coś w tym było...

A jednak... Nie do końca wszystko się psuje. Oto pod koniec roku, czy na skutek wyniku wyborów, czy też zmiany jakiegoś układu planet, dość, że, począwszy od Stolicy, władarze miast podjęli może mało efektowną, ale jednak znaczącą decyzję odnośnie wielkiego bang-bang, jakie od lat obowiązkowo musiało się odbyć na Sylwka.

Hucznych w dosłownym sensie sztucznych ogni nie będzie. Nie będzie straszenia ptaków, psów, kotów, wszystkiego, co żyje. Mam wrażenie, że rodzi się nowa świecka tradycja: hałasowanie staje się niemodne. I jeśli to prawda, to jednak świat, może małymi kroczkami, lecz idzie do przodu.

Czego życzyć Czytelnikom Fahrenheita na ten nowy 2019 rok i lata następne? Udziału w misji na Marsa? Jak najbardziej! Oglądania kolejnego lądowania na Księżycu, tak przy okazji. Po pierwsze zaś, żeby nam wszystkim razem i każdemu z osobna z każdy rokiem rozumu przybywało, nie przeciwnie.

Adam Cebula w imieniu redakcji Fahrenheita